ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 30 grudnia 1916 roku. № 53.

WOJENNYM SZLAKIEM.

(WRAŻENIA Z PODRÓŻY).

5

VI.

Francya — Szwajcarya.

Z jakąż rozkoszą oddycha człowiek znów czystem powietrzem na kanale Lamanche po londyńskich wyziewach benzyny, zaduchu i dymie!... Na wielkim, wygodnym statku krótką zresztą, bo siedmiogodzinną, podróż morską przebywa się tu bez trudu i nawet bez obawy, mimo, iż od łodzi podwodnych i ten szlak nie jest wolny i z Southampton płyniemy ze zgaszonemi latarniami. Ranek zastaje nas już w pobliżu normandzkich wybrzeży, które długo zresztą majaczą w seledynowej mgle, zanim staną się czemś wyraźnem, realnem... Kanałowi zrobili niesłusznie złą sławę, albo ja mam wyjątkowe szczęście. Fali nie widać prawie. Lekki wiatr marszczy ledwie powierzchnię wód — to turkusową, to ametystową naprzemian; mewy kąpią w niej swe białośnieżne skrzydła, krążąc wokół co raz to liczniej, jak rój marzeń wiosennych dookoła budzącej się młodzieńczej duszy. Na horyzoncie poczynają się ukazywać łacińskie żagle łodzi, wartko przemknęła torpedówka. Hawr tuż. Długie, wężowe tamy bielą się już w oddali. Nareszcie Francya!...

W słońcu pławi się ona i śmieje do nas zdala, śmieje się krasą swoją i wdziękiem i pogodą mimo, iż cała dziś w żałobie, we krwi. Na powitanie statku, a może wprost na rekonesans wylatuje olbrzymi dirigeable, długi, wązki, warczący i towarzyszący nam aż do przystani. Choć przepływamy koło fortów, nikt nie zabrania nam patrzeć na nie, — nikt nas nie spędza z pokładu. Podróżni cisną się więc u parapetu, cisną się z podróży pomyślnej, gawędzą. Towarzystwo to bardzo mieszane. Trochę angielskich oficerów, kilku włochów, rosyan, polaków, kupców francuskich i francuskich modystek, wracających widocznie z zakupami. — Po za tem paru księży... Od rana mówili szeptem pacierze, teraz gestykulują żywo, namiętnie w rozmowie z jakimś porucznikiem wojennej marynarki. Cyrkulacya pomiędzy Anglią a Francyą jest ogromna, wojna zacieśniła bardziej jeszcze tych dwóch krajów stosunki. Na nasz statek czeka na bulwarze zbity tłum, chustki zdaleka już unoszą się w powietrzu.

Po formalnościach paszportowych, będących w porównaniu z angielskiem chamstwem miłą z urzędnikami pogawędką, aczkolwiek rzeczową i ścisłą, fiakier, powożony przez kobietę — to pierwszy symptom wojny — wiezie mnie na stacyę... Lecz oto — pociąg odchodzi za 5 godzin dopiero. Co czynić?!... Wychodzę więc na Hawr i tułam się po mieście przedziwnie brudnem. Na czyj rachunek brud ten zapisać — nie wiem, bo właściwie więcej tu teraz anglików i belgów, niż francuzów. Jest tu zdaje się jakaś angielska kwatera sztabowa i podobno rezydencya chwilowa belgijskiego rządu. — Franków z królem Albertem dostaję całą masę, zmieniając parę funtów na pierwsze potrzeby. Co krok spotykam też gromadki żołnierzy w zgrabnych czapkach z czerwonemi chwastami; to resztki zastępów, broniących ongi Liege'u, Antwerpii i Namuru. Są też serbowie. Ci jadą, jak okazuje się, z Korfu do Rosyi, by bić się na tamtym froncie. Z jednym z nich wdaję się w rozmowę w kawiarni. Jest jak najgorszej myśli:

— Włóczymy się po świecie, jak żebracy — powiada — własnej nie mając już ziemi. Doskonaleśmy wyszli na moskiewskiej opiece. Jaki tam będzie koniec wojny, któż wie. Wielcy pogodzą się jakoś, tymczasem nas już niema. Inni tracą swe armie, w Serbii wojna i epidemia zniszczyły cały naród. I nie wiem, czy dźwignie on się jeszcze. Ma podobno wystąpić Rumunia wkrótce. To zmieni chyba postać rzeczy na Bałkanach... To jedno...

Nie próbuję odbierać mu tej ostatniej nadziei, bo i po co? Miał się biedak przekonać sam niebawem, jak była płonną... Już w Hawrze daje się odczuwać wszędzie brak mężczyzn. Na komorze rewidowały nas celniczki, w jadłodajniach kelnera ani na lekarstwo, to samo w wagonie restauracyjnym pociągu, który via Rouen wiezie nas do Paryża. Podziwiam szalone zmobilizowanie sił przewozowych kolei francuskich. Na którejś stacyi stoi kilkaset parowozów, niby jakieś wojsko żelazne. Urodzaj we Francyi cudowny, żniwa na ukończeniu. Ale i w polu przeważnie pracują wyrostki i kobiety. Widoki zmieniają się, jak w kalejdoskopie, raz wraz ukazuje się na tle bujnego parku jakieś „château", nieraz stylowy, śliczny zabytek przeszłości. Po lewej stronie przebłyskuje wśród pól i gajów rozkosznych, siną wstęgą Sekwana. Zaczynają się letniska paryskie. I tu wojna nałożyła już swoje piętno na życie. — Ogromna większość wdzięcznych willi stoi pustkami. Okna pozabijane, martwota. W wagonie czyni się ruch coraz większy. Pasażerowie zaczynają ściągać kuferki. Paryż. Gare St. Lazare.

Dorożek niema prawie, są za to automobile w zdumiewającej liczbie, zważywszy, iż przecie nieboszczyk generał Gallieni wywiózł wszystkie prawie onego czasu na front, kiedy ratował Marnę. O, gdyby mu się nie udało — inaczej byłoby dziś w Paryżu. Ale i tak wesoło nie jest. Ludzi kręcą się po ulicach dość dużo, ale to są ludzie pracy, nie ta publiczność z całego świata, która spijała tu śmietankę życia. Dziś ani owej publiczności niema, ani owej śmietanki. Na Avenue de l'Opera, na wielkich bulwarach — pustki, wieczorem tylko uwija się po nich trochę półświatka i trochę oficerów, przeważnie zresztą angielskich i rosyjskich. Ci ostatni są tu szczególnie honorowani przez wesołe sfery. Podobno na wiosnę było trochę przyjezdnych z Ameryki — ta fala przepłynęła i Paryż został z własnemi troskami wyłącznie i ze swym obecnym smutkiem, który mu zresztą dodaje wdzięku. Bezdenne środowiska jedynie potrzebują ciągłego gwaru, tak, jak bezduszne kobiety ciągłego wiru wrażeń. Paryż ma duszę — duszę piękną, głęboką i wielką. Ma duszę stokroć wspanialszą, niż zdawkowa o nim opinia. Ta rzeczywista, mądra i dobra treść Paryża płynie dziś wierzchem, nie przygłuszana przez czczą swawolę i bezmyślność szukających tu tanich wrażeń „etrangerów" i spekulujących na nich miejscowych procederzystów. Dziś w Paryżu trudno się *bawić* — można się nim jednak *rozkoszować* tem bardziej. Cudny, jak zawsze, jest on teraz, tylko dziwnie bolesny. Poważni ludzie i sytuacye poważne wszędzie. Wozy z rannymi, siostry miłosierdzia, kalecy. Co druga kobieta, nawet mężczyzna — w żałobie. Przed kawiarniami ludzi sporo, jednak humoru mało. Tam gdzieś na Montmartre wegetują jeszcze jakieś kabarety, ale to już organ szczątkowy Paryża przedwojennego. Paryż obecny żyje jednem tylko: czeka, nasłuchuje wieści z nad Sommy, z pod Verdun. Gazety są rozchwytywane, szwajcarskie szczególniej, w których najwięcej prawdy. Przedmiotem ogólnej miłości, ogólnego szacunku jest wojsko. — Nie wygląda ono po bohatersku z pozoru, brak wzrostu stoi temu na przeszkodzie. Błękitne hełmy stalowe nadają jednak żołnierzom styl poważny, a pełne inteligencyi twarze wojaków wzbudzają zaufanie do ich wartości bojowej. Tu niema jednostajnego typu żołnierza, tu mundur nie przekreślił indywidualności. Nie spowodował też bierności. Ochota życia śmieje się dotąd z oczu francuskiego żołnierza. Jeśli ma jedną rękę zranioną, drugą — sięga po szczęście, to krótkie szczęście na urlopie. I pono je znajduje... Przy boku każdego wojskowego nieledwie widzi się młodą, wdzięczną francuzkę, która, wyzbywszy się kokieteryi, cała natomiast stała się słodyczą i dobrocią. Przemiana ta czyni ją jeszcze bardziej ponętną, stała się ona podobniejszą do polki, jak polka bowiem zawsze, tak ona dziś mieszać musi szczęście z bólem i z troską.

Zwiedzać zbiorów paryskich podczas wojny nie można, wywieziono je bowiem i pochowano jeszcze podczas wyjazdu rządu do Bordeaux w jesieni 1914 r. Stoi przed nami natomiast cały Paryż do podziwu — jego gmachy, jego wieże strzeliste, jego stare kościoły, jego perspektywy niesłychane, którym nie masz na świecie równych. Po Londynie — jest stolica Francyi wytchnieniem. Po zbogaconym przemysłowcu — wykwintny królewicz, cały w brabanckich koronkach swych dostojnych szat. — Po mgle — słońce. Po tłumie—człowiek. Za wszystkie trudy podróży wynagradza mię to miasto stokrotnie. Chodzę po niem zresztą z tą miłą świadomością, że już mam grunt pod sobą, że skończyły się morza, burze, miny, łodzie podwodne i wszelkie inne niespodzianki obecne.

Szukam pamiątek polskich i znajduję je — na cmentarzach przeważnie. Grobowcem dawnej myśli politycznej polskiej wydaje mi się też poważny Hôtel Lambert na ulicy Saint Louis en l'Ile — niedaleko od polskiej biblioteki. I tu kiedyś chciano czegoś, w coś wierzono, mimo wielkie ambicye i tęsknoty. Teraz owych ambicyi polskich i powagi woli próżno szukać w Paryżu. Jest kilku ludzi zacnych, ale żadnego, któryby się kazał słuchać i mówił w imieniu narodu z całem poczuciem swej moralnej siły. Wielcy zmaleli w Polsce najzupełniej. Jest to jakaś obrzydła demokratyzacya na opak, w tych czasach wprost rozpaczliwa. — Żarliwi patryoci polscy czynią w Paryżu, co mogą — ale to są ludzie bezimienni, bez stanowiska, bez środków. Z pragnieniem zacnem jedynie. Ci, którychby słuchano uważnie — milczą. Tak samo jest w Szwajcaryi. Tu i tam otwarło się więc pole dla politycznych macherów „minorum gentium" i dla ich jeszcze mniejszych komparsów. Ci, co by mogli mówić za miliony, za miliony dziś wątpią tylko i za miliony są... oględni. Biednaś ty, Polsko!...

Z tem ciężkiem przeświadczeniem wyjeżdżam z Paryża, na dworcu Lyońskim raz jeszcze ujrzawszy Francyę wojującą. Tym samym pociągiem odjeżdżają żołnierze na linię bojową, więc w koło pożegnania — matki po raz ostatni może ściskają synów, siostry — braci, kochanki — kochanków. Są sceny wstrząsające. Słychać łkania. I tutaj widzi się najlepiej, jak straszne ofiary ponosi naród ten, stworzony zda się dla szczęścia. I łzami zachodzi dusza. Angielska chciwość i moskiewska zachłanność — oto za co musi cierpieć świat...

Przez Burgundyę przejeżdżam nocą. Rankiem staję na granicy szwajcarskiej. Tu już pokój... Ale nie, i tu naród pod bronią. Piękna Helwecya wysłała swych synów na przełęcze, by tam trzymali straż. Bo wolność dziś nietylko zdobywać trzeba, ale jej strzedz. *W. B.*

KONIEC.

Alfred Konar. **POWIEŚĆ.**

KARJERY.

10

Po kilku dniach bezustannej ulewy, resztki nagromadzonych na niebie chmur uciekały w gonitwach — jedne za drugiemi, jakgdyby nie miały już nic do roboty. I, jak z poza pościąganych pokrowców — wyglądały coraz większe obszary oczyszczonych cudownie błękitów.

Z po za ciemni drzew różowiło się zachodzące słońce, którego złote refleksy tak dziwnie na twarzach błyszczą, w tem oświetleniu śród srebra dnia, jeszcze białego. A zroszone deszczem niewyszukane kwiaty jędrzejewickie; jedyne, na jakie stać było ex-fornala ogrodnika — roztaczały zapach silniejszy od gardenii i storczyków; a były to poprostu grządki starych mieczyków, gladiolusów, nasturcyi, stokrotek, bratków i sasanek.

Cała natura, lśniąca brylantami rosy, każdy kwiatek i listek z osobna, każde źdźbło trawki, operlone kroplami deszczu — woniały świeżością rusałek, tylko co wyszłych z kąpieli.

Dokoła rozlegał się świergot ptactwa i gwar młodzieży, zajętej tennisem na zaimprowizowanym torze w stylu dyletantyzmu Jędrzejewickiego: bez drucianej siatki, z dłu-

biącym w nosie wiejskim piccolem, który z ogromnem przejęciem zbierał w godzinach wolnych od pasania gęsi — piłki tennisowe.

Po za panem Zarembą i dorosłą już panną Zosią Polewską, należą do tennisowej partyi dziś, jak zwykle, młodsze dzieci pani Polewskiej: Janek, Wacek i Hala, jako też guwernantka ich, francuzka, Mademoiselle Céleste, i dwie młodziutkie Glebianki.

Młode głosy grających rozpruwają piękną wiejską ciszę volapückiem tennisowych wyrażeń, brzmiących bez końca:

— Play, ready, fiftin, all, forty, dius, advantage. — I powtarzają wciąż w kółko, jakby jakieś sezamowe, tajemnicze dla profanów zaklęcia: — Game, out, net, set.

Pomimo zaróżowionego cudnie nieba, pomimo świergotów ptactwa i woni obrylantowanych rosą kwiatów — w sercach starych nie było pogody. Przeciwnie; czuli jakby żal, że śród czaru błękitów, sreber i przepychu złota natury w duszach im szaro, ciemno, smutno.

Czuli po niewczasie, że jednak bridż lepiejby chloroformował ich bóle, niż kłamliwa rozmowa, prowadzona jedynie w celu maskowania ukrywanych nastrojów. Może upał dnia słonecznego tak ich zmęczył i wyczerpał?

Ciotka Benisia czuła się dziś bardzo niezdrową. Całą przeszłą noc nie spała. Panią Polewską martwił brak wiadomości z domu i rzadkie listy od męża, bardzo sztuczne, lakoniczne i kłamliwe.

Pogodny pan Gleba miał już po szyję piekła ze swoją nieznośną magnifiką, z którą połączył się dla chwilowego, niepoczytalnego szału dozgonnym węzłem i u której — o dziwo! — siedział, pomimo ciągłych krzyków — pod pantoflem.

Księdza Zalewskiego męczyło ogarniające go od czasu do czasu życiowe zniechęcenie do swojej mizernej roboty małego kółeczka, bez którego wielka maszyna świata tak doskonale by się obyła.

Poruszano dziś tematy, możliwie najodleglejsze od bólów osobistych, aby nie dotknąć niebacznie jakiej bolączki, ukrywanej skrzętnie pięty Achillesa. Rozprawiano o muzyce.

Pani Polewskiej, podrażnionej listem, wpadło do głowy piorunować na klasyków:

— Wmawiamy sobie tylko, że ta nie mająca nic wspólnego ze spółczesnym duszostanem nudna niemczyzna w postaci oper Glucka, Bethoovena i Mozarta nas interesuje! Rzeczywiście trzeba mieć zdrowie do wysłuchania całego Fidelia i Ifigenii! A Mozart ze swoim Fletem zaczarowanym lub Weselem Figara! To zbiór ciągnących się bez końca, zmanierowanych, rokokowych arii, duetów i tercetów, bez śladu charakterystyki, figur; bez źdźbła nastroju sytuacyi. Możnaby doskonale przenicować całą muzykę z piątego aktu do pierwszego i t. d., a nicby dramat na tem nie ucierpiał. A nawet całą muzykę możnaby żywcem przenieść do innego libretta.

— Z pewnością — ironizowała wyjątkowo podrażniona dziś ciotka Benisia — Don-Juan nawet przeniesiony do Fletu zaczarowanego będzie wyraźniejszy, niż twój Pelleas i Melisanda Debussy'ego, niż Luiza Charpentiera, lub Elektra i Rosenkawalier Ryszarda Straussa. Można niemi zachwycać się jedynie, wskutek snobizmu, czyli kultu dla każdego dernier cris. Pozatem są oni niezrozumiali dla najkulturalniejszych specyalistów. Sądzę, że stworzyli szkołę ze swoich wad: z braku inwencyi tematycznej. Dlatego pokrywają nieprzejrzystą mgłą, aby nie można dostrzedz ich nicości, bardzo wygodną pour épater les pauvres bourgeois. Ach! Ten Ryszard Strauss — cóż to za piła!

— Słyszałem w Warszawie doskonałe bon mot — cytował dowcip pan Gleba. — „Jeżeli ma być Ryszard, to niech będzie już Wagner. Jeżeli ma być Strauss — niech będzie już Johann".

— Zgadzam się z panią — ujął się za pokrzywdzonych ksiądz Zalewski — że stworzyli szkołę ze swoich wad. Szkoła ta też, która wydała bądź-co-bądź geniuszów — jest zabójczą dla mniejszych talentów: dla Rachmaninowa, silącego się, aby być jeszcze bardziej mglistym od Rymskiego - Korsakowa, znacznie cięższego od genialnego Czajkowskiego. I Maksa Regiera i Ryszarda Straussa trudniej zrozumieć, niż Wagnera. A d'Indy jest znacznie mniej jasnym od Berlioza. Lecz genialny Wagner, Czajkowski i Berlioz — pozostaną nieśmiertelnymi na równi z Bachem, Händlem i Beethovenem. Jeżeli zarzucamy Moniuszce, że nawet, jak na ówczesne czasy, za mało znał technikę swego zawodu, to sądzę, że obecnej naszej muzyce grozi upadek z powodu przerafinowanej maestryi techniki. W wiecznej pogoni za łamigłówkami harmonii, w ciągłych matematycznych zawiłościach fugi, ciekawych dysonansów i w rozstrzyganiu kontrapunktycznych szarad i dziwolągów — zatracili w tych sztucznych kombinacyach polifonicznych i w mozolnie wyszukanych pomysłach harmonii wdzięk kultu prostoty. Nie są już ani pieśniarzami, ani wirtuozami, ani kapelmistrzami — są jedynie dobrymi muzykami. Każdy z nich na obstalunek potrafi napisać „ciekawą" fugę.

— Naturalnie! — zgodził się pan Gleba. — Szkoda, że drogę ich wybrał nieodżałowany Karłowicz i że nęci ona tak obiecującego młodziutkiego Szymanowskiego.

— Artysta nie powinien filozofować — upierała się dalej ciotka Benisia, z potrzebą mówienia, czując ustawicznie jednak, że mówi nie to, coby chciała, coby jej może ulgę przyniosło, lecz z czem ukrywać się musi. — Artysta powinien czuć! A oni wszyscy są wyziębli. Bo uczucia wydawali najdrobniejszą, miedzianą, marną monetą. Zapełniające im życie miłostki — nie mogą pobudzać artysty do wielkiej sztuki, której królową może być jedynie wielka miłość. Wszyscy wielcy artyści składali symfonie własnych bólów i rozkoszy u stóp ukochanej kobiety, która nie może być ani praczką, ani chórzystką, ani szwaczką — w zapędzie wyrwała się nierozważnie. — Powiedz mi, kogo kochasz, a powiem ci, kim jesteś.

— Ciocia sądzi — pesymizowała pani Polewska, — że mężczyzna wogóle jest zdolnym do wielkiej miłości? Ależ te wszystkie opiewane przez nich heroiny były jedynie chwilowym przedmiotem ich pożądań. Lecz kiedy ta chwila, trwająca krócej lub dłużej, minęła — heroina przemieniała się w ciążącą im niewolę. Innemi słowy: ta wielka ich miłość — nie różniła się niczem od miłostki. Bo oni mogą nas pragnąć, lecz nas nie kochają. Nasze towarzystwo ich nuży i nudzi. Oni przekładają nad nas swoich przyjaciół. Po za naszą urodą—nasza dusza, rodzaj naszego umysłu, logika, obserwacye — to wszystko ich irytuje — tak jest dla nich niezrozumiałe.

— Zupełnie zgadzam się z panią. O obecnych — rzecz prosta — nie mówi się. Lecz faktycznie psychologia kobiety wogóle — będzie dla nas mężczyzn zawsze zagadką, jak dla istot z innej gliny i z innej parafii — mówił pan Gleba, już zbytnio rozgoryczony ohydną ostatnią sceną małżeńską.

— Naturalnie z gorszej gliny?— uśmiechnęła się pani Polewska, licząc kółka swojej szydełkowej robótki.

— Nie. Powtarzam najwyraźniej: z innej. Bo kobiety posiadają więcej zalet, niż my, lecz i wad więcej. Inne zalety, inne wady. My jesteśmy gruboskórzy, pewni siebie,

silni. One są delikatne, tkliwe, cienkie. Lecz jakżeż obłudne, jakżeż chwiejne, kapryśne, niezdecydowane! Nawet gdyby przewartościować te wszystkie wartości i dowieść, co jest cenniejszem, czy siła, czy delikatność, czy gruboskórość, czy cienkość — to nie zmieni zdania, że kobieta i mężczyzna — to dwie istoty z zupełnie różnych planet świata. Z innej parafii, z innej gliny. Stąd ta cała tragedya obojga skazańców przez wyroki Opatrzności, aby w quasi miłości, koniecznej do utrzymania świata, żyć w wiecznych pętach obok siebie. Tragedya lwa, różniącego się zasadniczo charakterem od lwicy, bardziej, niż pies różni się od kota.

— O! Natura stworzyła tylko zwierzęta. Dopiero kultura stworzyła człowieka i jego moralność — zadecydowała pani Polewska w swoim stałym, cichym proteście przeciwko poligamicznym instynktom męża.

— Najwyższa kultura — bronił po męsku swoich praw pan Gleba — nie zmieni przemądrych nakazów natury; może je tylko zepsuć.

— To zależy—mówił, jak wszyscy, pro domo sua ksiądz Zalewski, ujmując się za swój intelektualizm, z którym nie czuł się widocznie szczęśliwym. — Czy kto woli być szczęśliwem zwierzęciem, czy nieszczęśliwym człowiekiem?

— Zdecydujcie się już raz — rzuciła niezwykle podrażniona dziś ciotka Benisia, co jest lepszem: miękkość czy siła, pewność siebie czy chwiejność?

— ?

— Podejmę się według tego waszego wyboru uczynić z mężczyzny anioła pokory lub z kobiety szatana wojny ze spiżu.

— Bardzo jesteśmy ciekawi.

— Tą niezawodną receptą jest zohydzone przez was w samem brzmieniu dźwięków — równouprawnienie, które wyrówna drażniące was różnice psychologii obu płci.

— Równouprawnienie? — zawiódł się na tej banalnej recepcie pan Gleba. — A czy nie jesteście już panie lekarzami, poetami, urzędnikami, malarzami i buchalterami?

— Chodzi o równouprawnienie fizyologiczne — wyrwała się z wypiekami na twarzy zwykle taktowna dotąd ciotka Benisia, z tą niedyskrecyą, z jaką wybucha się jedynie w najwyższem podrażnieniu. Jakby w buncie przeciwko najgłębiej ukrywanem quasietycznem „byt" po siemu" druzgocącem życie.

Zapanowała sekunda niemiłej ciszy.

Dalszy ciąg nastąpi.

TADEUSZ NITTMAN.

Modlitwa o świt.

(Do muzyki Griega „Śmierć Azy").

I.

Szumi wichr... leci liść...
Piaskiem w oczy nam, wygnańcom, dmie,
Boże nasz — Musim iść
Na tułaczkę, w świat...
A wszędzie źle, ach, źle!

Kto tam? Kto?...
— Czy słyszysz płacz?
Ach, to matka straciła dziecię swe,
Boże Ty — — Oto patrz:
Tyle młodych żyć straconych!
Jak wichr dmie...

„Gdzie mój syn? Gdzie mój syn?
Wy przeklęci, ach, oddajcie dziecko me!"
Tam wre bój... Tam wre czyn.
Skowyt z piersi się wyrywa — Gdzieś ty, gdzie?

Trwogą gnani, gnani wojną,
Uciekają precz oracze...
Użyźniony pracą znojną
Kraj rzucają: To tułacze!
Słysz ludu jęk? Krwi tyle — —
Cała Polska się w niej pławi,
Jedni padli, śpią w mogile,
Ileż serc się dzisiaj krwawi,
A na drugich spójrz tam, w dole,
Jaka nędza, jaki głód
Na nieszczęsnym ziem padole.
Spójrz na świat ten! Spójrz na lud!

II.

Słychać płacz i narzekania,
Skrzypią wozy, lud się tłoczy,
W twarzach wyraz obłąkania — —
— W świat! gdzie ich poniosą oczy.

Opuszczają swoje chaty,
Ojców sioła rzucą wnuk,
Tam — wre bój, walą granaty,
Kraj — dziś ogniem niszczy wróg!

I z tęsknotą ku północy
Wyciągają dłoń tułacze
W obcym kraju, w obcej mocy,
W sercach głucha rozpacz płacze — —

I z dnia na dzień tylko żyją,
Licząc tęsknie zbiegłe dni...
Tą nadzieją serca biją,
Każdy o tem tylko śni.

Iż po długich dniach niewoli,
Dniach nieszczęścia, śmierci, klęski,
Z krwią przesiąkłej polskiej roli
Wstanie orzeł znów — zwycięski!

I wciąż patrzą, wciąż czekają,
Czy nie zjawi się im wid,
Ten, o którym baśni bają,
Czy nie wstanie Polska z krwi,
W tym dniu wielkim zmartwychwstania
Czy się nasze ziszczą sny?
Boże Wielki, słysz błagania
Ześlij świt...
Ześlij świt, ześlij świt!

Moment psychologiczny.

Dwunastego grudnia o godzinie 5-ej popołudniu, spoczywając na miękkiej otomance w zacisznym kątku swego gabinetu — usłyszał nagle pan Sylwester odgłos dzwonka telefonicznego.

Luby, elektryzujący terkot nieczynnej od półtora roku skrzyneczki!...

Zrywa się pan Sylwester spiesznie z otomany i, nie dziwiąc się zgoła ewenementowi, pyta:

— Kto mówi?

Teraz dopiero ogarnia go radosne zdumienie. Omal nie upuszcza z ręki słuchawki.

Ona!... Ta, którą potylekroć podziwiał śmiejącą się doń na prześcieradle — czarująca gwiazdka na rodzimym firmamencie filmowym! — zaszczyca go własnoręczną rozmową, w cztery oczy, w jego gabinecie, w godzinie upajającego mroku przedwieczornego...

O, nieba!...

Nie pamięta doprawdy, gdzie i jak się poznali (jeszcze pół godziny temu przysiągłby pan Sylwester, że jej wcale nie zna), ale w tej chwili jasnem jest, że się znają oddawna, i jak dobrze! Mają sobie tyle do powiedzenia, rozumieją się doskonale — wątpliwości być nie może, że jest to romans w całem tego słowa znaczeniu, posunięty, zaawansowany: rozkoszny, zakazany romansik żonatego inżyniera miejskiego z czarującą gwiazdką krajowego firmamentu filmowego!...

— Czy cię kocham, czy cię pragnę?.. Ależ moja — — —

W tym momencie pan Sylwester przezornie zwraca swą upojoną twarz w kierunku drzwi, by się przekonać, czy dostatecznie jest odgrodzony od czujności słuchu żoninego.

Mój Boże, tyle już czasu nie było żadnej z powodu tej muzykalności — awanturki małżeńskiej!...

Rozkoszna, kradziona rozmowa przez tubę pomyka dalej: iskrząca się, pikantna, roześmiana, pełna głupawych uśmiechów, podrygów, szurań — chwilami aż za głośna...

— We czwartek? Jutro! Dziś jeszcze!!

— Za godzinę? Zaraz! W tym momencie!!

— Biegnę, pędzę, lecę — — —

Nie zdążył atoli pan Sylwester ruszyć krokiem od telefonu, gdy drzwi się otwarły z łoskotem, i do gabinetu wpada pani Sylwestrowa. Oczy jej pałają gniewem, chwyta za trzymaną przez zdradzieckiego męża słuchawkę i krzyczy:

— Wiem, z kim tak romansujesz przez telefon!...

Nieba! nietylko wie już, że telefon funkcyonuje, ale i to wie, że romans z gwiazdą filmową trwa od kilku miesięcy, że się spotykają nietylko w jego gabinecie przez telefon, ale i na mieście. Teraz rozumie, dlaczego tak często musiała chodzić z nim do kinematografu na „wspaniałe dramaty", które ani jemu, ani jej wcale się nie podobały!

Powoli, czyni się straszna, zgoła przedwojenna, awantura domowa. Pani Sylwestrowa grozi, że zaraz jutro pakuje manatki i pojedzie do rodziców na Ukrainę...

— Na miłość boską, żonusiu, którędy?..

Nie daje sobie wyperswadować. Jeżeli on nie da jej jutro wyjechać, to ona dziś jeszcze dowie się w cyrkule, gdzie mieszka gwiazda kinematografu, pójdzie tam wraz z policyą i — — —

— Cyrkuł, policya? Ależ, żonusiu, teraz przecież — — —

Ani słuchać nie chce o żadnych ustrojach politycznych! Skutek perswazyi mężowskich był taki, że rzuciła się z piąstkami zaciśniętemi do telefonu i poczęła sama wymierzać sobie sprawiedliwość. Gwiazda kinematografu nie pozostała jej dłużną.

Awantura zrobiła się straszna.

Kobiety-rywalki pobiły się przez telefon tak, że ze słuchawek tylko drzazgi pozostały. Skrzynka telefoniczna, rozbita na drobne kawałeczki, leżała o dwa metry od miejsca zazdrości...

Zrozpaczony inżynier miejski chwycił się oburącz za głowę, jęknął potężnie i... obudził się.

. . . . . .

Pierwsza rzecz, jakiej dokonał pan Sylwester po obudzeniu się, była inspekcya skrzynki telefonicznej. Okazało się, że aparat, pokryty półtorarocznym (o, żonusiu!) kurzem, spoczywa najspokojniej na tem samem miejscu, na którem zastała go ostatnia przed ewakuacyą rozmowa. Słuchawka była nienaruszona.

Uspokojony, zapukał pan Sylwester do pokoju żony.

Pani przecierała właśnie oczy, bo również przed chwilą, co dopiero, obudziła się była z drzemki poobiedniej...

Trawestując szczegóły i ukrywając nazwisko słynnej gwiazdy kinematografu, opowiedział pan Sylwester żoneczce sen, jaki miał przed chwilą. Główny nacisk kładł w opowiadaniu na fakt funkcyonowania telefonu, istnienie cyrkułów i „policyi", i tym podobne miraże nie tak dawnej smutnej przeszłości...

Pani Sylwestrowa była żywo poruszona.

— Wiesz, jaki to dziwny zbieg okoliczności, bo mnie się znów śniło, że wyszłam na róg na Krakowskie-Przedmieście zobaczyć, co grają w teatrze. Czytam afisz: „Noc listopadowa". Oglądam się: na rogu stoi na koniu moskiewski „fijołek". Jezus Marya! Spoglądam na tabliczkę z nazwą ulicy „Traugutta". Ścierpłam... W tem miejscu się obudziłam.

Dużo mieli śmiechu państwo Sylwestrowie ze swoich snów poobiednich...

Wtem dzwonek. Do pokoju, jak bomba, wpada prosto z ulicy kuzynka.

— Nie wiecie jeszcze? Nic nie wiecie?? Pertraktacye pokojowe!!...

I potrząsa tryumfalnie aż trzema dodatkami nadzwyczajnemi.

Państwa Sylwestrów owiało przerażenie: spojrzeli po sobie z uwagą, nie mówiąc słowa...

B. Gorczyński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

19

POWIEŚĆ.

Szarzało już, gdy znaleźli się na skraju miasta, i Dora zaciągnęła na twarz zasłonę. Wkrótce potem natknęli się na gromadkę mężczyzn w odzieży koloru khaki. Był to mały oddziałek policyi, złożony z dwóch angielskich urzędników i trzech krajowców.

Dorze serce załomotało w piersiach. Czyżby poszukiwali Hamakhana? Minęli ich jednak i młoda kobieta odetchnęła swobodniej, gdy nagle usłyszała, jak jeden z anglików rzekł do drugiego.

— Wiesz co, ten mi wygląda na naszego franta.

Hamakhan, któremu słowa te nic nie powiedziały, szedł dalej nie zwalniając i nie przyspieszając kroku, ale pod Dorą ugięły się kolana.

— Hej! ty tam!—Stój!—krzyknęli jednocześnie obaj anglicy. Hamakhan przystanął i zwrócił się ku policyi niedbałym, wyzywającym ruchem. Gniew w nim zawrzał i starł ślady zmęczenia i zgnębienia z jego pięknej twarzy. Dora stanęła obok niego zakwefiona i milcząca.

Parę indyanek spieszących na targ z koszykami na głowach zatrzymało się, zdjęte ciekawością.

Starszy z urzędników począł nerwowo przeglądać trzymane w ręku papiery.

— Do licha, Hamiltonie, gdzież mi się zapodział ten rysopis? Nie mogę go znaleźć. Aha! mam! — zaczął czytać półgłosem: Wzrost — h-m! h-m! to niczego nie dowodzi; oni wszyscy są wysokiego wzrostu; rysy regularne... hm! tak; ale to także ogólna, rasowa cecha... Aha!... zajęcie: wyplatacz mat. Słuchaj ty — rzekł, podnosząc głowę i patrząc na Hamakhana — czem się trudnisz?

— Koszykarstwem — odpowiedziała Dora, uprzedzając męża.

— Koszykarstwem? — hm, to dziwne co?—szepnął anglik towarzyszowi.

— Kłamie zapewne — odrzucił tamtem lakonicznie.

— Nie musiałeś pracować wiele w ostatnich czasach — rzekł starszy z urzędników, spoglądając na rękę pathańczyka wspartą o lewe biodro.

— Nie; nie można dostać roboty w Lalpur; i dlatego idziemy stąd — odrzekł Hamakhan.

— Gdzie idziecie?

— Wracamy do Sukhur — odpowiedziała znów Dora za męża.

Obaj anglicy popatrzyli na nią ciekawie. Smukła jej postać rysowała się wdzięcznie pod fałdami zasłony.

— Kim jest ten człowiek dla ciebie? — zapytał młodszy ostro.

— To mój mąż.

— No, to daj mężowi odpowiadać samemu na moje pytania—rzekł surowo drugi.

Dora umilkła, tylko z pod muślinowych draperyi oczy jej strzelały nienawiścią.

Znała dobrze tę sferę ludzi, których jako przedstawicieli policyi nie chciała widywać na swoich salonach, pomimo, że większość wojskowego towarzystwa w Jungpurze przyjmowała ich u siebie.

— Pochodzisz z Sukkur? — zapytał starszy urzędnik Hamakhana, który kiwnął głową twierdząco.

Obaj mężczyźni zaczęli się naradzać.

— Myślę, że tracimy próżno czas, Hamiltonie — rzekł starszy. — To są widocznie spokojni wędrowcy, a ten, którego szukamy, nie szwędałby się tu znowu — raczej starałby się przekraść do Peshawuru — co? Jak myślisz.

— Tak... zapewne... tylko ten rysopis — odparł młodszy, którego szare, bystre oczka tkwiły przenikliwie w pięknej, niewzruszonej twarzy pathańczyka.

— E! głupstwo — rzekł starszy. — Mówię ci, że wszyscy pathańczycy są podobni do siebie. Dyabelnie piękni i wszyscy na jedno kopyto. Może — i zajrzał znowu do papieru — będzie tu jaki znak szczególny.

Nastała chwila milczenia, podczas której ważyły się szale losów Hamakhana i Dory.

— A! — wykrzyknął nagle naczelnik policyi — mamy: „Biała blizna na podbródku, widoczna jedynie pod światło". No, to już jest coś.

Przystąpił do Hamakhana, ujął go za gładki, okrągły podbródek i obrócił ku wschodowi. Na atłasowo-gładkiej skórze niewielka biała blizna odcinała się wyraźnie.

Wszystka krew zawrzała w żyłach Dory. Instynktownie, jakby w nadziei odwrócenia uwagi urzędnika w inną stronę i zyskania na czasie, odezwała się w ojczystym języku:

— Biała blizna — takie blizny ma pięćdziesięciu innych krajowców. Nie zatrzymasz nas pan przecież dla tak błahego dowodu.

Obaj mężczyźni zdumieli usłyszawszy tę czystą, wytworną angielszczyznę z pod mahometańskiego kwefu. Naczelnik odwrócił się żywo, węsząc nowy trop.

— Kto pani jesteś? — zapytał surowo.

— Powiedziałam już panu — odparła Dora chłodno — jestem żoną tego człowieka. Czego pan chcesz od niego? O co go oskarżasz? To przynajmniej moglibyśmy wiedzieć!

Naczelnik miał już odpowiedzieć, gdy jego pomocnik trącił go.

— Popatrz no, co on ma w tym worku? — rzekł.

Dotychczas, Hamakhan, stojąc nieco bokiem, trzymał prawą rękę przyciśniętą do boku, tak, że obfite fałdy luźnych, muzułmańskich spodni zakrywały w znacznej części worek; ale teraz przy coraz jaśniejszem świetle dziennem bystre oczy policyjnego urzędnika dostrzegły wyglądający z boku rożek nieszczęsnego worka.

— Otwórz ten worek — przemówił rozkazująco naczelnik. Pathańczyk ani drgnął.

— Otwórz worek, kundlu, — wrzasnął młodszy.

Błyskawica gniewu strzeliła z czarnych oczu Hamakhana na tę zniewagę. Wydobył worek z ukrycia i cisnął go w stronę anglika.

— Otwórz go sam, skoro chcesz— rzekł zaśmiawszy się krótko i pogardliwie i oparł prawą rękę na lędźwi. Ale nikt nie potrzebował otwierać worka. Ciśnięty silnie padł na ziemię z głuchym odgłosem; sznurek, którym był związany, pękł i jedna z głów zczerniała i cuchnąca potoczyła się pod nogi naczelnika policyi.

Mała gromadka cofnęła się ze zgrozą. Hinduski wrzasnęły; urzędnicy pobledli.

— Jesteś więc mordercą, jak to podejrzewałem — rzekł naczelnik do Hamakhana, który jeden pozostał niewzruszony.

Ale nim zdążył odpowiedzieć, Dora wysunęła się naprzód.

— Nie! nie! — zawołała namiętnie. — On nie jest mordercą. Jeden z jego przyjaciół zamordował tych hindusów przez zemstę i uprosił go, aby zaniósł te głowy do Lalpuru. Jestem angielką. Uwierzycie mi chyba, panowie, gdy wam przysięgnę na mój honor, że on jest niewinny.

Było tyle prawdy w jej głosie, że podejrzenia urzędników pierzchły. Starszy popatrzył na piękną, dumną postać pathańczyka. Nie, to nie mogła być twarz mordercy.

— Jeżeli powiesz nam, dla kogoś to uczynił — rzekł pojednawczo do Hamakhana — puścimy cię wolno, inaczej, oczywiście, musisz ponieść karę.

Dora spojrzała na Hamakhana z trwożnem oczekiwaniem, chociaż naprzód odgadła odpowiedź. Pathańczyk patrzył z chłodną, urągliwą pogardą na swoich kusicieli. Nigdy nie wydał się jej tak pięknym, tak wspaniałym. Biła od niego duma i godność nieugiętej rasy, i Dora zrozumiała, że niema dla nich obojga nic, prócz śmierci. Bo i saksończyk również umie umrzeć za honor danego słowa.

— Nie mogę wam tego powiedzieć — rzekł Hamakhan spokojnie.— Śmierć niczem jest dla mnie. Jestem pathańczykiem.

Oczy jego przesunąwszy się po nich spoczęły na Dorze i nagle wyraz dumy i pogardy znikł, ustępując miejsca bezbrzeżnemu bólowi i żądzy. Dora zrozumiała to spojrzenie i sama zdjęta nieopisanem pragnieniem życia dla nich obojga zwróciła się do anglików.

— Po cóż go pytać? On nie zdradzi towarzysza. Ale wy, panowie, szukajcie sami, a wtedy dowiecie się prawdy.

— To nam pani dopomóż, skoro zapewne wiesz wszystko — rzekł cierpko starszy, lecz Hamakhan, dostrzegłszy jakby wyraz przelotnego wahania w umęczonej twarzy Dory, postąpił ku niej.

— Zabraniam ci mówić — rzekł rozkazująco.

Dora spojrzała na anglików z rozpaczą.

— Widzicie panowie, że nie mogę wam powiedzieć, ani on też nie powie. Lecz wy możecie odszukać prawdę; musicie ją znaleźć z czasem.

Tak; zapewne—tylko, że wszelkie poszukiwania są rzeczą nużącą i wymagającą nakładu energii i myśli. Obaj policyjni urzędnicy pragnęli się czemś odznaczyć i oto nastręczała im się po temu sposobność doskonała. Oczywiście, wszystko, co ci ludzie mówili, było kłamstwem; a jeżeli nie — to cóż stąd? Czy się powiesi jednego pathańczyka czy drugiego, mniejsza o to; rzecz główna w tem, żeby jakiś wisiał.

Młodszy urzędnik aż dygotał z niecierpliwości, widząc, że jego zwierzchnik jakby się jeszcze namyślał.

— Lepiej go zaaresztować — szepnął. — Lada chwila może nam uciec, a wtedy, szukaj wiatru w polu.

Pathańczyk zdawał się nie słyszeć. Stał nieruchomo, zapatrzony w Dorę z wyrazem najgłębszej tkliwości i bólu.

— No, masz co do powiedzenia? — zapytał urzędnik nagle.

— Nie — odrzekł Hamakhan dumnie. — Nie mam nic do powiedzenia prócz tego, że to nie ja zabiłem.

— Kłamiesz — zawołał anglik gniewnie. — Bierzcie go! — dodał, zwracając się do swoich krajowych podwładnych.

Ale w tej samej chwili nóż błysnął w ręku pathańczyka i nim Dora zdołała przeszkodzić, Hamakhan dwukrotnie pchnął się nim po niżej pasa.

Dora krzyknęła rozpaczliwie. Tak więc było po wszystkiem, nieodwołalnie po wszystkiem! Zerwała z głowy zasłonę, odsłaniając bledziuchną, niewysłowionym bólem napiętnowaną twarzyczkę. Hamakhan postąpił ku niej parę kroków i upadł ciężko na ziemię, wciąż ściskając nóż w zakrwawionej dłoni. Policyanci chcieli go otoczyć, lecz Dora odepchnęła ich z niepojętą siłą.

— Czy nie widzicie, że umiera? Czegóż jeszcze chcecie od niego! Dajcie mu skonać spokojnie! — zawołała z taką rozpaczą w głosie, że kolorowi słudzy sprawiedliwości cofnęli się mimowolnie.

Dora uklękła przy Hamakhanie, a on objął ją lewą ręką.

— Och! czemuś to uczynił? Czemuś to uczynił! — wyłkała namiętnie. — Może był jeszcze jakiś ratunek.

— Nie; żadnego — odparł pathańczyk spokojnie. — Żadnego bez zdrady, a potem nie byłbym mógł umrzeć w ten sposób. Czy chcesz mnie przeżyć, życie mego serca?

Patrzył w nią konającemi oczyma, ściskając wciąż silnem jeszcze ujęciem zakrwawiony nóż. Pytał i czekał na odpowiedź, choć instynkt rasowy nakazywał mu zabić ją niezwłocznie i przeszkodzić w ten sposób, by kiedyś w przyszłości inny mężczyzna rozkoszował się jego najwyższem dobrem na ziemi. Ale życie przy boku Doru nie pozostało bez wpływu na jego duszę. Była tak wierną, kochającą, tyle poświęciła, tyle wycierpiała, niechże więc sama rozstrzygnie o swoim losie; niech zachowa życie, jeżeli tego zechce.

Na Dorę słowa jego spadły, jak grom. Umrzeć w dwudziestym roku życia, gdy to życie tyle jeszcze dać jej mogło, to było okropne!

Na chwilę podniósł się w niej bunt; młodość upomniała się potężnym głosem o swoje prawa. Ale wnet oczy jej padły na umiłowaną twarz, która już coraz bardziej zanurzała się w cień śmierci. Jakto! Nigdy już więcej nie usłyszeć jego głosu, nigdy więcej nie ujrzeć tych najdroższych, tak cudnie pięknych rysów? Byłożby to życie?

Z nieopisanym okrzykiem pochyliła się nad konającym; ucałowała jego zbielałe usta, poczem obnażyła łono.

— Nie! Zabij! Zabij! — szepnęła nawpół przytomna z bólu i rozpaczy.

I znowu, nim obecni zdążyli przeszkodzić, nóż błysnął w stygnącej dłoni i Hamakhan ostatnim wysiłkiem wepchnął go pomiędzy piersi Dory. Ostrze dosięgło serca.

Z cichym jękiem młoda kobieta padła obok ukochanego twarzą do ziemi. Z piersi Hamakhana wydarł się straszny, ostatni krzyk; zatoczył się na ciało Dory i skonał.

Gromadka widzów stała przez chwilę bez ruchu.

— To charakter!—szepnął starszy z anglików.

— Prawda! I jak ona mogła kochać takie bydlę! — rzekł ze zdumieniem młodszy.

Podniesiono ciała, ułożono je obok siebie na wznak i rażący kontrast tych dwóch postaci uderzył wszystkich. Lica młodej angielki napiętnowane były zgrozą, bólem, bezsilnym buntem przeciw przeznaczeniu. W twarzy mahometanina malował się bezwzględny spokój i niczem nie zmącona rezygnacya.

Ponieważ nikt nic o Dorze i jej pochodzeniu nie wiedział, a w indyjskim klimacie z pogrzebami spieszyć się trzeba, pochowano oboje we wspólnym dole na kawałku przeznaczonego na taki cel opustoszałego gruntu, kędy przed świtem chłodny wietrzyk porusza kępkami suchej, zrudziałej trawy, porastającej bezimienną mogiłę kochanków.

* * *

Wszystkie indyjskie dzienniki podały obszerne opisy tragicznej śmierci młodej angielki w stroju muzułmanki, o której powszechnie mniemano, że musiała być nizkiego pochodzenia, szwaczką lub sklepową conajwyżej; i jeden z takich opisów dostał się do rąk pani Harding, siostry Dory. Pani Harding przeczytała go w samotności swego wspaniałego buduaru w Jungpurze, a gdy w półgodziny potem jej panna służąca weszła do pokoju, zastała ją leżącą na dywanie w omdleniu, z którego przez dwie godziny wspólne wysiłki męża i doktora nie były w stanie jej ocucić. Wreszcie odzyskała przytomność i w zgoła naturalny sposób złożyła to zemdlenie na straszliwy od paru dni upał, czemu chętnie dano wiarę.

Wieczorem czuła się już do tyla dobrze, że mąż jej mógł udać się do klubu, ona zaś pojechała do ojca.

Zastała go, jak zwykle, zatopionego w planach i mapach kolejowych. Dom wyglądał zupełnie tak samo, jak kiedy Dora była tu panią, i siostrze jej serce ścisnęło się nagłym bólem na myśl, że nigdy już nie ujrzy jej promiennej, uśmiechniętej twarzyczki, nie usłyszy jej srebrnego głosu. Z trudem dowlokła się do krzesła ojca, który odwrócił się, aby ją przywitać.

— Widziałeś ojcze? — szepnęła. — Czytałeś indyjskie dzienniki?

— Tak — odpowiedział generał z niewzruszoną twarzą. — Ale ma to, na co zasłużyła i czego się mogła spodziewać. Ostrzegałem ją niejednokrotnie co to za gatunek ludzi; wiedziała dobrze, co robi.

Pani Harding usiadła na bujaku i zaczęła się kołysać w milczeniu, patrząc przed siebie. I wydało jej się, że widzi tych dwoje siedzących ręka w rękę na matach sąsiedniego pokoju, którego drzwi były otwarte. Dora uśmiechała się do niej, szepcząc: „Nie martw się. Jestem szczęśliwa. Nie żałuję niczego".

— Czyż los siostry gorszym był, niż jej własny? — myślała pani Harding. — Czy jeden rok życia w pełni nie był więcej wart, niż te długie lata pustej, bezbarwnej egzystencyi, jakie ona miała przed sobą?

— Ojcze! — wybuchnęła nagle, przyciskając mokrą od łez chusteczkę do drgających ust — ojcze! ja nie wiem, która z nas godniejszą pożałowania. Bądź-co-bądź Dora kochała i była kochaną, a Hamakhan był ślicznym, dobrym i miłym chłopcem. A jeśli czyja w tem wina, że się tak stało, jak się stało, to ojca. Gdyby ojciec był im pozwolił pobrać się i żyć na europejski sposób, Hamakhan byłby się prędko przystosował do nowych warunków, a tak... Ale ojciec nigdy nie miał wyrozumiałości dla Dory ani za jej życia, ani teraz, gdy umarła.

Generał spojrzał na córkę. Twarz spłonęła mu gniewem.

— Doprawdy, Lolu, jeżeli po to przyjechałaś, żeby pleść takie niedorzeczności, to niepotrzebnie przeszkodziłaś mi tylko w pracy. Wyrozumiałość dla czegoś tak potwornego, jak rozkochanie się w tem bydlęciu!... Nie! Nigdy! A co się tycze ciebie; to masz za męża tak zacnego człowieka, jak rzadko; jeżeli nie czujesz się szczęśliwą i wdzięczną za to, że cię wybrał, to, powiem ci, że jest to dowodem wielkiej głupoty i braku serca z twojej strony.

Pani Harding popatrzyła na ojca. I na cóż się zdało mówić do niego? Nie rozumiał nigdy Dory i nigdy jej już nie zrozumie.

— Tak, to prawda, że niepotrzebnie przeszkodziłam ojcu — rzekła z lekkim, niezwykłym u niej sarkazmem. — Wrócę więc do domu. Całe szczęście — dodała z większą jeszcze ironią — że niema obawy, aby stąd jaki skandal wyniknął.

— I ja tak sądzę — podchwycił generał gorąco. — Nikomu chyba do głowy nie przyjdzie podejrzewać cośkolwiek. To wielka dla mnie pociecha.

— O! tak. Bardzo wielka. Dobranoc, ojcze.

I Lola wróciła do powozu, a generał do map i planów kolejowych.

Po ucieczce Dory główną jego troską była obawa skandalu, a gdy dzięki zręcznemu upozorowaniu jej nieobecności wyjazdem do krewnych, a od nich z powrotem do Anglii wszystko się jakoś szczęśliwie zatarło i uciszyło, pozostało mu jedynie uczucie gniewu i niesmaku względem tej „wyrodnej", jak ją nazywał, córki.

Teraz, wiadomość o jej śmierci prawie że nie uczyniła na nim wrażenia. Przez dziewiętnaście lat chowała się i żyła zdala od niego i prawie, że nie odczuwał różnicy pomiędzy taką a inną przyczyną jej nieobecności. Zresztą, ta śmierć tragiczna była w jego oczach zasłużoną karą. Alboż jej nie ostrzegał, alboż nie uczynił wszystkiego, co było w jego mocy, aby ją od takiego losu uchronić? Sumienie nic mu nie wyrzucało.

Ale pani Harding, wróciwszy do siebie, zamknęła się w swoim pokoju i długo, bardzo długo płakała, a w nocy, słuchając chrapania męża, który nie był ani pięknym, ani inteligentnym, tylko na wskroś zacnym człowiekiem, myślała wciąż o tym opuszczonym grobie dwojga kochanków na pustyni, i coś nakształt zazdrości nurtowało jej kobiecą, utęsknioną duszę.

KONIEC.

Z literatury.

Na przełomie.

„Szkic dziejów polskiej myśli politycznej w latach 1914—1915" napisał p. Adam Zagórski. Autor, jako wyraźny zwolennik tendencyi politycznych N. K. N., patrzy na wszystkie zjawiska życia polskiego w lata wojny z punktu widzenia dążeń i marzeń tej formacyi. Stosunkowo najbardziej ciekawe są te miejsca pracy p. A. Zagórskiego, w których analizuje stanowisko Narodowej Demokracyi i R. Dmowskiego. „Na Przełomie" jest książką agitacyjną i należy ją czytać z tem przeświadczeniem, nie żądając zbytniej objektywności ani bezstronności w wypowiadaniu sądów.

Godło.

P. Artur Górski wydał tom drugi prac, które objął wspólnym tytułem „Godło". W tomie drugim nie znajdujemy rzeczy nowych. Są to tylko dokończenia prac, rozpoczętych w tomie pierwszym. Znajdujemy więc p. Artura Górskiego „Chłopa", opowieść sceniczną akt II, Feliksa Brodowskiego dokończenie rzeczy p. t. „Moja Biografia" oraz część II rozmyślań kulturyozoficzno-historycznych p. t. „Ku czemu Polska szła", też pióra p. Artura Górskiego. O drugim tomie należy powtórzyć to, co ongi pisaliśmy po zjawieniu się pierwszej książki „Godła". Jest to kapliczka dusz kryształowych, szczerych, kontemplacyjnych, ale współczesność nasza, choć ceni sobie niezmiernie te zalety, szuka ludzi czynu, i dla tych ludzi pragnie obudzić entuzyazm i wiarę. Zresztą p. Górski „Ku czemu Polska szła" powiedział w swoich niedzielnych konferencyach w Tow. Miłośników Historyi na Starem-Mieście. Sądzimy, że dla ludzi, którzy tych prelekcyi słuchali, zjawienie się ich w edycyi książkowej będzie bardzo na rękę. Tyle bowiem zużył p. Górski materyału, że przetrawienie uważne byłoby pożądane i wskazane dla jego słuchaczy.

Profesor Butrym.

Druga część powieści Jerzego Żuławskiego p. t. „Laus feminae" ukazała się w edycyi książkowej po śmierci autora, jako dramat życia profesora Butryma. Zapatrzony w gwiazd niezmienny obieg, zasłuchany w tajemnice światów, nie odczuwa Butrym wcale, że po kilkoletniem pożyciu małżeńskiem z piękną panią Zofią stał się jej obcym. A kocha ją przecież Butrym. Jest przy niej całem swojem istnieniem. Uwielbia, że mu dała syna, śliczne, małe chłopię, przemyślnie już dopytujące się o bajki czarodziejskie. Życie Butryma płynie równo: dzieli je na studya agronomiczne i dom. Jest pochłonięty pracą umysłową, nie spostrzega zmian psychicznych, jakie zachodzą w jego żonie. Zauważył, gdy, przyszedł ostry kryzys. Kapryśna pani pojedzie do ciepłej krainy nad Riwierę koić swoją niezrozumiałą nostalgię. Tu spotka czarnookiego hiszpana i... gdy śmiał ją pocałować, oburzona wraca myślą i uczuciem do męża. Kaprysi jednak i znów przypadek urządzi jej spotkanie z mężem w Wenecyi. Nad Adryatykiem przeżyją powrotną wizyę szczęścia. I znów przypadek chce, że urocza i kapryśna pani stanie na rubieży kobiecego przeznaczenia. Zbuntuje się, zaprotestuje, wybuchnie gorącym potokiem dziwnej niechęci do tego, co ma przyjść. Na słowie nie skończy jednak, zechce praktycznie uwolnić się od domniemanego przewidzenia. Zacznie chodzić po lekarzach i dopnie celu. Butrym burzy się, szaleje wewnątrz, pragnąłby mieć jeszcze jedno dziecko. Nie sądzone jest — bo kaprys żony prowadzi do maniackiego uparcia, do realizacyi zamierzonego gwałtu nad naturą.

Jerzy Żuławski wszystkie te sceny tłumionej rozpaczy i wściekłości Butryma przy kapryśnej i dziwnej egzotyczności p. Zofii postawił w należytej równowadze. Czy ludzie ci mogą być szczęśliwi? Nie. A przecież same gwiazdy rzucił pod stopy swej miłości Butrym, uczony i marzyciel, męczennik, wpatrzony i wsłuchany w rytmikę wirujących światów.

W powieści tej znajdzie się też rozwiązanie miłości milionera Turskiego do uwodzicielskiej księżnej... Zalotną księżnę zastrzeli na schadzce młody student, kochanek. I w tej miłości niema szczęścia; niszczy ludzkie istnienia, nie dając nic wzamian.

Powieść Żuławskiego obfituje w sceny o pięknym kolorycie spłowiałych dostojeństw Wenecyi, pławi się w przepychach tatrzańskich całunów śniegowych, podwawelski gród przytem maluje dosadnie, plastycznie. Napewno zyska sobie wielu chętnych czytelników. Jest to przecież ostatnia przedśmiertna większa praca J. Żuławskiego. Wydanie zaopatrzone jest w wstęp pióra Zdzisława Dębickiego.

Ustawodawstwo autorskie obowiązujące w Królestwie Polskiem.

Zapewne sejm prawodawczy polski zajmie się też sprawą konwencyi literackiej, jaką państwo nasze zawrze z państwami zachodniemi. Dla przyszłych prac tego sejmu p. Litauer wykonał bardzo pożyteczną rzecz, skupiając wszystkie materyały, dotyczące ustawodawstwa autorskiego obowiązującego w Królestwie Polskiem. Sądzę, że z książką p. Litauera powinni się też zapoznać literaci. Naogół bowiem panują nawet wśród ludzi zainteresowanych dość mętne pojęcia o prawie autorskiem. P. Litauer załączył też w oryginale tekst francuski konwencyi o obronie utworów literackich i artystycznych, zawartej między Rosyą i Francyą.

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.